

Pamięci wszystkich pomordowanych w latach 44+ w bratobójczych walkach, @#\$\$%^&*#\$ WSZYSTKICH!

Jesienią roku 1993 mój Tato był już tak poważnie chory, że jeździłam (ze Szwajcarii, gdzie mieszkałam) do Krakowa, gdy tylko mogłam. Ostatni raz widziałam Go w październiku 1993, przywiozłam mu wydruk listu, który napisałam wcześniej i wysłałam do redakcji "Polityki" - treść listu odpowiadała dokładnie Jego opowieści.

Tato na początku wojny uciekał śladami swojego starszego brata z Krakowa na wschód. Brat przedostał się do ZSRR, tam trafił do łagru a potem do Armii Andersa, wrócił do Polski na pocz. lat 50. Tatę zatrzymały sprawy osobiste w miasteczku Kańczuga, mieszkał tam, gdy wojna się kończyła... potem via Wrocław wrócił do Krakowa, gdzie żył do końca życia. Zmarł 6 grudnia 1993 roku. Kopię listu do "Polityki" schował wtedy do pancерnej kasetki, która trafiła do mnie wiele lat później, bo rok po śmierci mojej Mamy (†25 czerwca 2007), gdy likwidowałyśmy z siostrami mieszkanie po Rodzicach.

List opisywał tragiczne wydarzenia pewnej marcowej nocy 1945 roku w Kańczudze, żołnierze NSZ zamordowali wtedy kilkanaście osób. Wydarzenie to opisane zostało 9 lat później w Gazecie Wyborczej. Witold Piecuch opisał w tekście z marca 2002 roku zatytułowanym "Wielka noc w Kańczudze" co zaszło (znalazłam ten tekst w pdf w sieci, dołączam go pod moim listem za pozwoleniem Autora). Także Piotr Lipiński na łamach Gazety Wyborczej wrócił do tych wydarzeń tekstem "Nikt ich nie tykał" z 30 sierpnia 2002. Z tych tekstów wiem teraz, że była to Wielka Sobota, 31 marca 1945 roku, że zginęło co najmniej trzynaście osób i że znane są niektóre nazwiska ofiar (i kilka innych szczegółów):

Izrael Eizig, 35 lat, jego żona Chana Krieger, 20 lat, Sima Krieger 16 lat, Berek Zwanziger, 26 lat, Mindla Salzman, 55 lat, Dojra Bergman, 32 lata, Feiwel Jakubes, 33 lata, Debora Risman i Izrael Reitzfeld. Jest wśród nich Feiwel Jakubes, a więc to na pewno ten sam Fewel, którego pamiętał mój Tato, choć nie miał pewności, czy było to imię czy nazwisko. To było imię.

Szanowna Redakcjo "Polityki",

Ustawa Sejmu o odznaczeniach dla Narodowych Sił Zbrojnych NSZ za "UDZIAŁ W WALKACH O PRAWDZIWA NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W LATACH NIEMIECKIEJ OKUPACJI I PO OKUPACJI" sprzed ponad roku spowodowała duże poruszenie wśród ludzi pamiętających tamte czasy, ale nie tylko wśród nich. Choć sama należą do pokolenia powojennego, trudno mi pogodzić się z niektórymi posunięciami polityków dotyczących "rehabilitowania" działalności ludzi potępionych - jak najbardziej słusznie - przez Polskę Ludową.

W numerze 2 "Polityki" za stycznia tego roku opublikowany został w odpowiedzi na artykuł z nr 46/92 wybór listów na temat s p o s o b ó w w walki NSZ o tę niby prawdziwą Polskę. Skłaniam się wprawdzie do zdania Ryszarda Nazarewicza (w komentarzu do opublikowanych listów), że nie należy obciążać wszystkich ludzi należących do NSZ, bo nie wszyscy mają na sumieniu zbrodnie, ale jeżeli ustawa Sejmu dotyczy nie n i e k t ó r y c h z NSZ, ale NSZ jako organizacji, to powinien wystarczyć nawet tylko ten jeden punkt programowy NSZ, żeby zdyskwalifikować całą organizację, a mianowicie wspieranie przez oddziały NSZ (n a w e t jeśli nie wszystkie) hitlerowskiej ideologii zakładającej m.in. eksterminację ludzi pochodzenia, czy też wiary żydowskiej.

Piszę ten list z niejakim opóźnieniem (choć czy na uzupełnianie faktów historycznych jest kiedykolwiek za późno?), ale właśnie niedawno poznałam z ust wiarygodnego naocznego świadka dwa nowe fakty dotyczące zbrodni NSZ w latach powojennych na terenach Polski. Ponieważ nigdzie nie trafiłam (ani też nikt z ludzi, których pytałam, nic o tym nie wiedział) na wzmiankę o tych wydarzeniach, chciałam je opisać, niechby się znalazły

choćby tylko w archiwach "Polityki" ze względu na pamięć pomordowanych.

W jednej z ostatnich nocy marca 45 w miejscowości Kańczuga pod Jarosławiem miał miejsce zbrojny napad grupy mężczyzn, o których z pewnością wiadomo, że należeli do NSZ, na budynek zamieszkały przez około dwudziestoosobową grupę (głównie) młodych kobiet i mężczyzn - Żydów. Blisko jedną trzecią wymordowano, reszta zdołała uciec. Byli to mieszkańcy miasteczka, którzy przeżyli okupację ukrywając się (niewątpliwie w mniej lub bardziej potwornych warunkach) po okolicznych wsiach.

Po wyzwoleniu terenu w dniu 28 lipca 1944 ludzie ci wrócili do s w o j e g o miasteczka, w s w o j e j , było nie było, o j c z y ż n i e, i zamieszkali wszyscy razem we wspólnym domu przy ulicy "na przedmieściu" (tak określano potocznie drogę wychodzącą na Łańcut). Pozostali mieszkańcy Kańczugi ustosunkowali się do powracających życzliwie i zaraz zaczął się między nimi a budynkiem nazwanym "małym gettem" handel wymienny.

Po napadzie pochoano zabitych we wspólnym (tymczasowym?) grobie przy ulicy Węgierskiej, koło magazynu materiałów budowlanych. Był wśród nich mężczyzna mniej więcej 30-letni o imieniu (a może nazwisku?) FAWEŁ. Jest to jedyne imię, które mój rozmówca był w stanie przytoczyć. Starsi mieszkańcy Kańczugi pamiętają żywo to wydarzenie i, zapytani, wyrażają swoje oburzenie wobec ustawy Sejmu.

Druga znana mojemu świadkowi "akcja" wojska NSZ miała miejsce w maju 51 w Jarosławiu. Podczas spaceru zastrzelony został przez NSZ (o czym było wiadomo) komendant powiatowy MO, porucznik JÓZEF KOSIK. Zostawił żonę i małe dzieci. Mieszkańcy miasta poważali go i odnosili się do niego z szacunkiem.

Mimo niewątpliwiej kotłowaniny towarzyszącej wymianie systemów, polscy politycy powinni ze szczególną rozważą rozpatrywać swoje ustawy. Bo nawet jeśli nie wszystkim poprzedni system przypadł do gustu, w żaden sposób nie wolno popierać bandyckich sposobów walki organizacji typu NSZ.

Z poważaniem
Elżbieta Binswanger-Stefańska
dziennikarka

Zurych, 10.9.93

Nigdy nie dostałam z "Polityki" potwierdzenia, że do kogoś z redakcji dotarł ten list. Na blogu na stronie "Polityki" Jan Hartman w tekście pt. "'Żołnierze wyklęci' Kaczyńskiego" z 29 lutego 2016 roku pisze m.in.:

"Wojna jest zawsze tragedią i trzeba uważać z czernią i bielą w jej odmalowywaniu. Zbrodnie i wielkie czyny splatają się ze sobą, a na końcu nie ma niewinnych. Wojna jest brudna i brudzi wszystkich, którzy biorą w niej udział. Dlatego trzeba ją upamiętniać z troską, zmarszczonym czołem, a nie w duchu triumfalizmu i bezkrytycznego zadowolenia z siebie. Tworzenie propagandowych mitów i nacjonalistycznej narracji dla celów partyjnej i państwowej propagandy, w oparciu o przemilczenia, uproszczenia, wykręty i moralnie podejrzane poczucie „prawa do stronnictwa” – prowadzi do tego, że koszmary wojny są wciąż z nami, a złe uczucia, które wojnę napędzały, pozostają nadal w pogotowiu.

Jak nam się podoba kult formacji ukraińskich i litewskich, które mordowały Polaków? A dla nich to tacy sami bohaterowie, jak dla PiS bohaterami są „żołnierze wyklęci”. Bo nacjonałisci ukraińscy przechodzą do porządku dziennego nad mordami popełnianymi na Polakach – co innego się dla nich liczy.

Niestety, tak samo jest po naszej stronie. Co innego się liczy - ofiary mordów nie liczą się wcale. Można je zignorować w imię wyższej sprawy. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - pomordowane kobiety, mężczyźni i dzieci, okaleczeni, obrabowani i spaleni to właśnie „wióry”. Niech lecą - w zapomnienie. Widocznie tak musiało być. Po co o tym mówić? Zresztą mord jest zawsze odwetem - nas mordowali, więc mordowaliśmy i my. Za naszą kobietę ich kobieta, za naszego dziadka ich dziadek. Czyż nie jest to jakaś sprawiedliwość? No, jest. Ma nawet swoją nazwę: spirala przemocy".

WITOLD PIECUCH: Wielka noc w Kańczudze

W Wielką Sobotę 1945 r. ktoś zabił Żydów, którzy wrócili do podrzeszowskiego miasteczka. Do dziś nie wiadomo kto.

Porucznik Urban, powiatowy komendant MO, 7 kwietnia 1945 r. sporządził dla starosty powiatowego w Przeworsku notatkę: "Dnia 31.3.1945 r. w godz. 20-30 około 10-15 nieznanych sprawców uzbrojonych w automaty i karabiny oraz pistolety dokonało napadu rabunkowego i morderstwa w Kańczudze na obywatelach polskich pochodzenia żydowskiego. Zabici zostali Eizig Izrael lat 35, żona jego Krieger Chana lat 20, Krieger Sima lat 16, Zwanziger Berek lat 26, Salzman Mindla lat 55, Bergman Dojra lat 32, Jakubes Feiweł lat 33, wszyscy z Kańczugi. Sprawcy po dokonaniu czynu zbiegli w nieustalonym kierunku. Dochodzenie w tej sprawie prowadzi posterunek MO w Kańczudze oraz Ref. Śledczy w Przeworsku".

21 kwietnia w Domu Uchodźców w Bukareszcie pojawił się Jakub Kesstecher z Kańczugi. Opowiadał o zbrodniach popełnionych na Żydach w czasie wojny. Na końcu wspominał o zabójstwie w Kańczudze i podał nazwiska siedmiu ofiar. Były wśród nich dwa nowe - Debora Risman i Azri Reitzfeld.

Ulica Barbary

Ulica Świętej Barbary (mieszkańcy mówią - Barbary) jest najdłuższa w mieście. Prowadzi z rynku w kierunku odległego o 15 km Łańcuta. W dużym domu przy Barbary, kilkadziesiąt metrów od rynku, zginęło przynajmniej siedmioro Żydów. Niedaleko, przy Węgierskiej, w dwóch domach należących do rodziny Kriegerów zastrzelono zapewne sześć osób. I może kilka dalszych na terenie miasteczka.

Gdy wychodzę z domów, w sąsiednich oknach poruszają się firanki. Tak jest wszędzie. - To małe miasto. Ludzie wiedzą, z kim pan rozmawiał. Jak pan wyjeżdża, biegają od domu do domu, pytając: "Coś mu powiedział?" - mówi jeden z mieszkańców. - Mnie już kilka osób przestało poznawać, chyba myślą, że to ja panu o wszystkim opowiedziałem. Bo to wielka tajemnica Kańczugi, o której z obcymi się nie rozmawia.

Skąd ja o niej wiem? Opowiedziała mi o niej Maria Z., którą poznałem przy okazji innego reportażu. Maria Z. wyszła za chłopaka z Kańczugi, zamieszkali w Rzeszowie. - Usłyszałam o tym zabójstwie jakieś 20 lat temu - mówi Maria Z. - Teść, który mieszkał w Kańczudze od urodzenia, pokazał mi kilka miejsc: "Tu leżał jeden, tam drugi, trzeci...". Kilka lat później spotkałam we Francji Żyda z tych okolic. Powiedział: "To straszne miejsce, tam Polacy nas mordowali". Wtedy sama zaczęłam zbierać informacje.

Maria Z. podała mi nazwiska kilkunastu najstarszych mieszkańców Kańczugi. Udało mi się porozmawiać z blisko 20 osobami mieszkającymi tam w 1945 r.

Nieprawda!

Licząca dziś 3260 mieszkańców Kańczuga leży u stóp Pogórza Dynowskiego na Podkarpaciu. W 1939 r. na 2345 jej obywateli było ok. 1 tys. osób wyznania mojżeszowego, modlących się w czterech synagogach. Rok później mieszkańców było prawie 4 tys. - schronili się tu uciekinierzy (w większości Żydzi) z innych części kraju.

Do dziś wokół rynku stoją stuletnie kamieniczki ze sklepikami. W ciepłe dni sprzedawcy wymieniają grzeczności z przechodniami. Jak dawniej w rynku koncentruje się życie. - Kiedyś szacowni kańczusczy mieszkańcy omawiali tu ważne sprawy miasta - mówi Maria Z. - Nic nie mogło się zdarzyć bez ich wiedzy.

Ale dzisiejsza elita miasteczka o wydarzeniach z 1945 r. nie wie albo nie chce mówić.

Bogusław Urban, historyk z Kańczugi (b. dyrektor miejscowej podstawówki, teraz wicestarosta w Przeworsku), od kilkunastu lat zbiera materiały do historii miasteczka. Dopiero ode mnie dowiedział się o zabójstwie. Także prof. Jerzy Motylewicz z Przemyśla, autor książki "Dzieje Kańczugi" (1984 r.), nic o nim nie wie. Nie słyszał burmistrz Jacek Sołek ani Krystyna Sowa, sekretarz gminy i miasta. Słyszał Roman Skórski, były naczelnik miasta i działacz Towarzystwa Przyjaciół Kańczugi. - Te sprawy przez wiele lat były żywe wśród mieszkańców - mówi. - Ale dla tej społeczności lepiej byłoby, gdyby nie były teraz wyciągane. Myślę, że wiele miast w Polsce ma w historii takie trudne epizody - grzecznie, ale kategorycznie odmawia rozmowy.

Proboszcz Aleksander Radoń jest tu od trzech lat. - Gdyby się coś takiego tu wydarzyło, na pewno bym o tym słyszał.

Po kilku dniach okazuje się, że proboszcz znalazł w parafialnym archiwum pracę miejscowego historyka Alfreda Maksymowicza na temat kańczuskiej placówki AK (odkryłem w niej potem wzmiankę o Żydach zamordowanych w 1945 r.).

- Pytałem kilku starych mieszkańców - ciągnie tymczasem ksiądz Radoń. - Nikt nie wie, by po wojnie zabito tu Żydów. Ale życzę powodzenia. Jeżeli rzeczywiście ma to służyć prawdzie - dodaje. - Nieprawda! Nigdy w Kańczudze katolik Żyda nie zabił. Nigdy! - powtarza Karolina Kurasiewicz, coraz silniej ściskając moją dłoń. - Komuś się coś pomyliło.

Karolina Kurasiewicz mimo 94 lat jest bardzo energiczna. Całe życie spędziła w Kańczudze, teraz mieszka z wnukami w starym domu przy Świętej Barbary. - Jestem chyba najstarsza w mieście. Ale wszystko dobrze pamiętam. Po wojnie Żydzi, którzy przeżyli, wrócili do miasta. Co się z nimi stało? - Wszyscy zaraz powyjeżdżali - jedni do Ameryki, inni do Izraela.

Proszę tędy nie wracać

Jak odtworzyć wydarzenia sprzed 57 lat, jeśli ludzie nie chcą o nich pamiętać? Jednak nie wszyscy. Felicję Krzan, emerytowaną nauczycielkę mieszkającą od urodzenia przy Barbary, spotykam, gdy wraca z cmentarza: - Miałam wtedy dziesięć lat, ale to, co widziałam, ciągle staje mi przed oczami. Zresztą tu, między znajomymi, wiele razy rozmawiało się o tym.

Co stało się w Wielką Sobotę 1945 r.?

- Mieszkałem w rynku. Szedłem wieczorem odprowadzić kuzynkę - opowiada Stefan Szymczakiewicz, który wówczas miał 19 lat (po wojnie prowadził w rynku piwiarnię, którą dwa lata temu przekazał dzieciom). - I na Barbary ktoś mi nagle przystawia pistolet i krzyczy: "Ręce do góry". Maca mnie i mówi: "Proszę tędy nie wracać". Ja kuzynkę zostawiłem kawałek dalej i uciekłem przez sad moich rodziców. Byłem młody chłopak, zaglądałem tam rano przez okno. Zastrzelone wszystko. Tyle krwi - pokazuje. - Ja nie słyszałam strzałów, ale rodzice słyszeli - mówi Felicja Krzan. - Rano, idąc do kościoła, wszyscy interesowali się, co tam się stało. My też

patrzyliśmy przez okno. Mama mnie odciągała, bo to straszny widok.

Leżeli wszyscy martwi.

- Przy Węgierskiej był mój rodzinny dom - mówi mieszkająca w Przeworsku Stanisława Ruchel (rocznik 1924, żona zmarłego przed kilku laty założyciela Towarzystwa Przyjaciół Kańczugi). - Parcela Kriegera, który miał skład drewna i materiałów budowlanych, była obok. Chyba mu przed wojną nieźle szło, bo dokupił jeszcze dużą działkę za naszym domem. Dla dwóch synów wybudował tam obok siebie dwa identyczne domy. Tam wróciła ich rodzina, jak się wojna skończyła. W jednym domu zamieszkała Hania Krieger ze swoim mężem i z młodszym bratem, chyba Dawidem. W drugim mieszkał drugi, starszy brat Hani z dziećmi - Pinią i Jankielem - miały może z dziesięć, dwanaście lat. Wszyscy - sześcioro - zostali zabici tej samej nocy co ci na Barbary. Jak wracaliśmy rano z rezurekcji, drzwi były pozamykane, ale przez okno widziałam ich wszystkich leżących tam.

- Moja koleżanka została zabita gdzie indziej - mówi Klementyna Hawro, rocznik 1924 (mieszka przy rynku, obok dawnego magistratu). - Jak? Nie wiem. Dowiedziałam się, że została zabita za mostem, tam gdzie jest stacja benzynowa. Sąsiadka, Przewrocka, mówiła jej podobno: "Dziecko, ty wyjedź stąd, bo może ci się krzywda stać. Bo coś się tu nie tak dzieje". Ludzie wiedzieli, że coś się szykuje.

Sąsiadka nie żyje. Jej rodziny nie udało się znaleźć.

- Wcześniej ktoś próbował Żydów nastraszyć - mówi Alfred Maksymowicz, urodzony w 1924 r. w Kańczudze historyk (mieszka w Krakowie), autor pracy o kańczuskiej placówce AK, którą dostałem od proboszcza. - Do piwnicy domu przy Barbary ktoś wrzucił minę przeciwczołgową, ale nieuzbrojoną. Pewnie, by skłonić Żydów do wyjazdu. O minie opowiada też akowiec Roman Żurowski ("Wiśniak") z podkańczuskiego Żuklina. - Ale kto to zrobił, nie wiem.

Jak rabin z księdzem

Karol Szymczakiewicz ma 84 lata. Mieszka w rynku, naprzeciw piwiarni swojego brata Stefana: - Przed wojną rodzice mieli restaurację niedaleko tego domu przy Barbary, tam gdzie teraz przystanek autobusowy. W połowie naszego domu mieszkali Żydzi. - Byli sitkarze, masarze, rzeźnicy, handlarze i rolnicy. W większości biedni - ocenia Jan Hawro (rocznik 1923, mąż Klementyny).

Stefan Szymczakiewicz: - Był tu przed wojną żydowski burmistrz, nie Żyd, ale zawsze szedł Żydom na rękę.

Felicja Krzan: - Tu były ogromne przyjaźnie między Polakami a Żydami. Moja mama i babcia bardzo dobrze z nimi żyły. Dlatego ten mord był dla większości kańczużan olbrzymim zaskoczeniem.

- Miałem kolegów Żydów, z jednym siedziałem w ławce - mówi Alfred Maksymowicz. - Kto był mądry, dobrze z Żydami żył. Podczas procesji Bożego Ciała, kiedy ksiądz z monstrancją wychodził z kościoła, z synagogi wychodził rabin. Spotykali się przy pierwszym ołtarzu, oddawali sobie pokłony. Ale zdarzały się też antyżydowskie incydenty - dodaje. - Młodzież wrzucała do bożnicy przez okno zdechłe ptaki - goniła ich wtedy policja. Tuż przed wojną pojawiły się w Kańczudze napisy: "Bij Żyda, bo bida, Żyd twój wróg, koci niuch". Były też hasła wzywające do bojkotu żydowskich sklepów, ale to nie miało szans. Ich konkurencja była tak duża, że chyba tylko jeden należący do Polaków sklep zdołał się utrzymać.

Ostatnie wieszanie Judasza

Mniej przyjemnie było przed Wielkanocą. - Młodzież z miasteczka i okolicznych wsi trochę wtedy Żydom dokuczała przy okazji wieszania Judasza - przyznaje Alfred Maksymowicz, który poświęcił temu obyczajowi artykuł w miesięczniku "Lud". Sądzi, że obrzęd znany był od XVIII w. Polegał na wieszaniu, a później biciu i

wleczeniu po ulicach kukły Judasza przebranego za pejsatego Żyda. Często kończyło się to rozbijaniem okien w domach Żydów, którzy się nie wykupili np. wódką. Interweniowała wtedy policja.

- Ostatni raz Judasz był wieszany w 1940 r. - mówi Maksymowicz, który w ostatnim obrzędzie sam uczestniczył. - Niemcy to z ochotą fotografowali jako rzekomy przejaw naszego antysemityzmu. Ludzie uznali więc, że trzeba tej tradycji zaniechać.

W okolicach Kańczugi wieszanie Judasza przetrwało jednak wojnę. Kulturowane jest w oddalonym o kilka kilometrów Pruchniku, gdzie uważa się to nawet za atrakcję turystyczną. Przed rokiem wieszanie kukły z napisem "Jude 2001" na piersi opisał reporter "Gazety Wyborczej". W archiwum w Przemyślu znalazłem fragment notatki burmistrza Kańczugi doktora Sawickiego z 1936 r. Wynika z niej, że władze powiatu obawiały się antyżydowskich rozruchów. Ich przyczyną miała być próba wprowadzenia przez starostę zakazu wieszania Judasza, a kilka miesięcy później - zgoda zarządu miasta na postawienie przez niejakiego Rappaporta budki w rynku. Burmistrz niepokoję tłumaczył kryzysem gospodarczym.

Na okopie

Większość Żydów z Kańczugi zginęła podczas okupacji. - Żal było, jak Niemcy wywozili znajomych - mówi Stefan Szymczakiewicz. - U nas wtedy Polacy ich nie mordowali. Pewnie, wszędzie się taki trafi, że da znać, gdzie są schowani. Ale to tylko jakiś pijak albo dziad mógł robić.

- Taki jeden Płachta ukrywał młodą Żydówkę niedaleko, w Żuklinie - opowiada Jerzy Ruchel (rocznik 1924). - Jacyś mężczyźni chcieli do niej pójść, ale ten Płachta im nie pozwolił. To tamci donieśli Niemcom i gestapo ją zabrało. Innego takiego przypadku nie było.

Największa akcja pacyfikacyjna odbyła się w sierpniu 1943 r. - Niemcy zgromadzili Żydów w nieukończonyj synagodze, tam gdzie jest ośrodek zdrowia - opowiada Klementyna Hawro. - Przez wiele godzin słycać było stamtąd taki płacz i lament, że serce się krajało. Niektórzy podawali im chleb, jak Niemcy nie widzieli. Stamtąd poprowadzono ich na "okop". - Prowadzili ich grupami po 50 osób - mówi Alfred Maksymowicz. - Nikt nie próbował uciekać, chociaż taką grupę eskortowało tylko dwóch Niemców i jeden granatowy policjant. Na "okopie" (starym żydowskim cmentarzu) zostało wówczas rozstrzelanych około 200 Żydów. Cmentarz leży 3 km od Kańczugi, tuż przed wsią Siedlecza.

Stefan Szymczakiewicz: - Mieli swojego grabarza. Mazur się nazywał.

Córkę Antoniego Mazura, 90-letnią Halinę Majewską, znalazłem w pobliskich Żurawiczkach. - Jak ich zasypali, ziemia się jeszcze ruszała. Mieszkaliśmy koło "okopu". Ojciec był zaprzysiężony przez Żydów jako ich grabarz.

Jan Hawro: - Rodziny, które zostały, sześcioma furmankami wywieźli potem do Sieniawy. To byli ostatni Żydzi.

Takie będziemy mieć pamiątki

- Przyszła do nas moja koleżanka Hania Kriegerówna i mówi, żeby ją ukryć - opowiada Klementyna Hawro. - Ale gdzie? U nas był mały dom - cztery ściany i nic więcej. Hania zjadła coś u nas, potem dała mi swoją chustkę, a ja jej swoją: "To takie będziemy mieć pamiątki" - powiedziała. Ukrywała się później u Pakli. Innym razem przyszła znajoma Żydówka z zawiniątkiem. Nie wiem, co tam miała, ale chciała nam to wszystko dać, żebyśmy tylko ukryli jej syna. Ale naprawdę nie było gdzie. I oboje poszli w stronę Siedlecza. - Był wtedy taki duży spichlerz, a w nim wejście do lochów, które idą pod Kańczugą - ciągnie Klementyna Hawro. - W tych lochach się Żydzi ukrywali. Myśmy mieszkali obok. Zawsze coś się podrzuciło do jedzenia w krzaki niedaleko tej dziury.

Józefa i Franciszek Florek (rodzice Krystyny Sowy, sekretarza gminy) za przechowywanie żydowskiej rodziny w

swoim domu w podkańczuskich Niżatycach zostali - już po śmierci - uznani za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Krystyna Sowa: - Poza nimi jeszcze co najmniej trzy tutejsze rodziny uhonorowano medalem "Sprawiedliwy". Jedną była rodzina pana Bronisława Pakli z Polnej, oni już nie żyją. Dwie inne chcą to utrzymać w tajemnicy. Czegoś się obawiają.

Felicja Krzan: - Jak ktoś ukrył Żydów, to nie tylko mógł zostać zabity razem z rodziną przez Niemców. Sąsiadom też nie mógł się przyznać, bo zaraz krzywo patrzyli, że się na tym wzbogacił.

Edward Mucha był w Batalionach Chłopskich. Teraz jest prezesem miejscowego związku kombatanów. Co wtorek można go spotkać w siedzibie związku w budynku urzędu miasta i gminy: - Różnie było. Taki jeden w Kańczudze oddał przed wojną Żydom pół morgi pola za długi. Później, jak Żydzi się schowali, powiedział Niemcom, że to jego pole, które oni mu zabrali. I z powrotem je miał.

- Niejaki Ś. mieszkał w rynku - mówi akowiec Roman Żurowski ps. "Wiśniak". - Sprzedał Żydom dom w rynku i wyjechał. Wrócił, jak się zaczęła wojna, i powiedział Niemcom, że Żydzi mu zabrali dom. Jak Niemcy Żydów wykończyli, on znowu tam mieszkał do końca wojny.

Tę grupkę widzę wyraźnie

Niemcy opuścili Kańczugę w końcu lipca 1944 r. Do miasteczka zaczęli wracać Żydzi. Ilu? Nie sposób dziś ustalić. W wykazie przekazanym w styczniu 1945 r. starostwu w Przeworsku przez zarząd miasta są nazwiska 14 osób. Ale lista przygotowana w tym samym czasie przez kańczuską gminę żydowską (także dla starostwa) zawiera 35 nazwisk. Tę listę podpisali Izydor Reitzfeld i Juda Ehrlich.

"Po wkroczeniu Sowietów i ustąpieniu z Milicji Ob. wszystkich prawie żołnierzy A.K. przybyło i zamieszkało w Kańczudze około 20 żydów którym udało się przeżyć okres prześladowań ze strony Gestapo" - czytam w raporcie "Polska Armia Krajowa Placówka w Kańczudze" z czerwca 1945 r. Pod nim podpisało się pięciu członków ówczesnego kierownictwa: Dowódca Jeleń, Z-ca Rys-Góral, Sieteski-Organ, Sęk i Lis. Część Żydów zamieszkała w domu przy Barbary.

- Jego właścicielka to była bardzo elegancka, zadbana kobieta - opowiada Stanisława Ruchel. - Jak wróciła po wojnie, była zupełnie siwa i prawie ślepa, bo chowała się przez wiele miesięcy bez światła. Pamiętam, jak przed Wielkanocą siedziała pod tym domem. Oprócz niej zamieszkało tam chyba siedmioro Żydów. Był wśród nich jeszcze jeden taki niewidzący. Wszyscy w Wielką Sobotę zginęli.

- Tę grupkę widzę wyraźnie, bo codziennie tamtędy przechodziliśmy - mówi Felicja Krzan. - Żydzi siedzieli przed domem, wybiedzeni, bladzi, żal było patrzeć. Ilu ich mogło być? Tam, przed domem, około dziesięciu. - Do domu na Węgierskiej wrócił taki muzyk - opowiada Stefan Szymczakiewicz. - Jego rodziny już nie było - nie wiem: wymordowali czy wywieźli. I on siedział na takiej gruszcze i grał na skrzypkach. Tak żałośnie grał, że kto tamtędy szedł, to płakał.

- To był Reitzfeld - mówi brat Stefana Karol. - Ze trzy czy cztery noce grał na tych skrzypkach.

W wykazie członków gminy żydowskiej ze stycznia 1945 r. jest nazwisko Izraela Reitzfelda, dentysty, urodzonego 22 lutego 1910 r. Poniżej wymieniona jest Hania Reitzfeld, z domu Krieger, trykociarka, urodzona 5 maja 1925 r. Reitzfeld przeżył okupację w obozie pracy w Stalowej Woli.

- Miał szczęście, że był muzykiem - mówi historyk Alfred Maksymowicz, który także przez jakiś czas pracował przymusowo w Stalowej Woli. - Widziałem go, jak chodził ze skrzypcami uczyć grać dzieci komendanta. - Mnie też Reitzfeld uczył grać na skrzypkach, jeszcze przed wojną - mówi Stanisława Ruchel. - Mieszkał w sąsiednim domu, w lecie kładłam się w naszym ogrodzie i godzinami słuchałam, jak on grał. Pamiętam

zwłaszcza włoskie piosenki, np. "Wróć do Sorrento". Klementyna Hawro: - Hania Krieger była moją koleżanką ze szkoły. Jak po wojnie wróciła z ukrycia, wyszła za mąż za tego muzyka. Mieszkaliśmy blisko. Ona była w ciąży. Nieraz, jak widziałyśmy się, to ona się tak cieszyła, że będzie miała dzidziusia. Naraz się dowiadujemy, że zostali wszyscy zabici.

Wieczorem będzie pyk, pyk, pyk

Wielkanoc 1945 r. przeżyła rodzina Goldmanów. Uratowała ich choroba 17-letniej Feigi Goldman, która do Kańczugi wróciła z ciotką Berachą, wujem Jakubem i ich córką Beilą. Dzięki internetowi znalazłem istniejącą w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie wspólnotę Żydów z Kańczugi.

Okazało się, że jej prezes Howard Nightingale jest synem Feigi Goldman (zmarła kilka lat temu w Kanadzie). Napisał do mnie: "Jakub Goldman był zaprzyjaźniony z ówczesnym burmistrzem Kańczugi. Ponieważ moja matka była chora na żółtaczkę, wuj poprosił burmistrza o przydzielenie oddzielnego domu, żeby uchronić innych od zachorowania. Dlatego uniknęli masakry. Matka opowiadała, że w Kańczudze zostało zastrzelonych wtedy kilkanaście osób".

Po tej nocy rodzina Goldmanów wyjechała do Przeworska. Cioteczna siostra Feigi - Beila Goldman - miała wtedy siedem lat. Teraz nazywa się Bella Nussbaum i mieszka w Toronto. Nadal mówi po polsku. "Nie wiem, dlaczego nie przyszli do nas - pisze. - Może dlatego, że ojciec przed wojną prowadził z Polakami interesy i pożyczał im pieniądze."

- Przy Świętej Barbary wyskoczyło przez okno dwóch braci Jakobes - mówi Alfred Maksymowicz. - Paweł, czyli Feiweł, był ciężko ranny, ukrył się w kopie siana, ale do rana zmarł. Jego brat, nie pamiętam imienia, uratował się. Pod koniec lat 40. mieszkał we Wrocławiu, gdzie wraz ze Stanisławem Ruchelem (byłym żołnierzem AK z Kańczugi, ps. "Stańczyk") prowadzili hurtownię jabłek. Ja wtedy studiowałem we Wrocławiu, więc go spotykałem. Potem on wyjechał do Stanów. - Uchował się też Josiu - opowiada Stefan Szymczakiewicz. - Jego rodzina miała kiedyś sklep z rowerami. Josiu nocował wtedy u nas, przy restauracji. Myślę, że ci, co ich zabili, nie chcieli do nas wchodzić, bo w Wielkanoc nie chcieli strzelać u nas. Bo to, wie pan, znajomi...

- Ci, co strzelali do Żydów, to byli wasi znajomi? - upewniam się, czy dobrze zrozumiałem. - Rodzice mieli restaurację, to ich znali wszyscy w okolicy - wyjaśnia Stefan. Więcej nie chce powiedzieć. Karol Szymczakiewicz: - Josik nie poszedł wtedy spać do tego domu, jakby czuł. Stefan: - Rano poszliśmy razem do tego domu. Josio powiedział: "Zaprzęgaj konia, zawieszysz ich na cmentarz". Mówię mu: "Choćbyś mi dał majątek, nie pojedę. Jakbym potem jechał tym wozem w pole, tobym już zawsze widział tych Żydów za plecami". I sąsiad pojechał.

- W Kańczudze mieszkał wtedy doktor Roman Masłowski, także Żyd - mówi Felicja Krzan. - Przyjechał na początku wojny z Warszawy, był doktorem filozofii. Uczył tutaj w szkole, był dyrektorem. Masłowski został w Wielki Piątek u nas w domu ostrzeżony i uciekł wraz z żoną, też chyba nauczycielką. Zacytuję panu słowa, bo przy tym byłam: "Wieczorem będzie pyk, pyk, pyk".

Nie powiem, kto go ostrzegł, bo ten człowiek już nie żyje. A więc sprawa zgładzenia była wiadoma wcześniej, a ten ktoś chciał Masłowskiego uratować. Wiem, że Masłowski mieszkał później we Francji. W czasie którejś z następnych rozmów Felicja Krzan zdecydowała się ujawnić: - Doktora Masłowskiego ostrzegł burmistrz Henryk Lewkowicz. On w czasie wojny pracował w magistracie, podobno pomógł przeżyć kilku Żydom. A z Masłowskim się przyjaźnił. - Bardzo prawdopodobne - uważa Alfred Maksymowicz. - Lewkowicz to był wspaniały człowiek. W czasie wojny uratował wielu ludzi, mi też załatwił lewą kenkartę.

Henryk Lewkowicz, pierwszy powojenny burmistrz Kańczugi, potem dyrektor miejscowego liceum, był podczas wojny członkiem dowództwa kańczuskiej placówki AK. To on używał pseudonimu "Lis", który widnieje pod raportem AK z czerwca 1945 r.

W spisanych w 1977 r. wspomnieniach pisze: "Miałem przykrości ze strony Komendanta Powiatowego MO, który podejrzewał mnie, że jestem komendantem AK w miejsce aresztowanego i wywiezionego do ZSRR Leona Grzebyka. Byłem członkiem AK, ale z chwilą wyzwolenia tutejszych terenów spod okupacji niemieckiej uznałem, że konspiracja się skończyła i należy włączyć się do pracy przy odbudowie Kraju". W innym fragmencie pisze: "Jak się później okazało [!] Roman Masłowski był narodowości żydowskiej, z czym się krył, gdyż bardzo pilnie uczęszczał na nabożeństwa z żoną i z dzieckiem do kościoła".

Henryk Lewkowicz zmarł w 1979 r. W Przemyślu mieszka jego syn Andrzej (rocznik 1939). Ode mnie dowiedział się, że jego ojciec ostrzegł Romana Masłowskiego. - Ojciec niewiele opowiadał o tamtych czasach - mówi. - Wiem tylko, że jako pracownik magistratu załatwiał wielu ludziom lewe dokumenty. A o wydarzeniach z wiosny 1945 r. dowiedziałem się dopiero po jego śmierci ze wspomnień. Andrzej Lewkowicz pamięta natomiast kłopoty ojca z powodu podejrzeń o akowską przeszłość. - Do 1956 r. co tydzień w najdziwniejszych porach dnia i nocy musiał się stawiać w komendzie powiatowej milicji.

Leżeli tak do wieczora

Stanisława Ruchel: - Leżeli tak do wieczora w Wielką Niedzielę. Wtedy tych z Barbary przywieźli furmanką do ogrodu przy Węgierskiej, wykopali wielki dół i wszystkich razem pochowali, po prostu wrzucili. Widziałam to przez okienko na naszym strychu. Kto ich chował, nie wiem. Dół był przy samej ulicy, ludzie bali się chodzić tamtędy. Kilka lat potem podobno wszystkich wykopano i wywieziono. Jednak mnie nie było już w Kańczudze.

Felicja Krzan: - Może zostali pochowani na "okopie". Halina Majewska, córka grabarza Mazura: - Jak się wojna skończyła, ja tam już nie mieszkałam. Słyszałam o tych Żydach zabitych, ale czy ich tam pochowali, tego nie wiem. W domu obok cmentarza mieszka Edward Drozd: - Ale dopiero od 14 lat - zastrzega.

W wykazie grobów wojennych na terenie Kańczugi, który władze gminy sporządziły w 1946 r. na polecenie przeworskiego starostwa (dla potrzeb sanitarnych, ze szczególnym uwzględnieniem odległości od studni), opisano dziesięć zbiorowych mogił w okolicach ulicy Węgierskiej. Miały się w nich wówczas znajdować ciała 60 Żydów zamordowanych podczas okupacji. Nie wiadomo, czy także szczątki zabitych w 1945 r. Jeden z rozmówców twierdzi, że zostali oni pochowani na dawnym cmentarzu cholerycznym w północno-zachodniej części miasta. Dziś w tym miejscu stoi samotny krzyż otoczony resztkami betonowych słupków.

Nawiązali od razu łączność z NKWD

Jedna z ulic w Kańczudze od dwóch lat nosi imię Adama Głowackiego, żołnierza AK (ps. "Ryś") więzionego przez wiele lat po wojnie. Jego syn Zbigniew ("Orlątko", rocznik 1929) mieszka pod Kańczugą. To od niego dostałem raport "Polska Armia Krajowa Placówka w Kańczudze". Czytam w nim:

"Żydzi [...] zamiast wdzięczności wobec Polaków, którzy dopomogli przeżyć te ciężkie chwile nawiązali od razu łączność z N.K.W.D. i Kom. woj. Sow. Pieczenkinem, z miejsca ustosunkowali się do Polaków zaczepnie i nie życzliwie, a niektórzy wprost zgłosili się do służby w Bezpieczeństwie i Milicji. Kom. Milicji (...) znany łotr Świętoniowski który wykorzystując szerokie znajomości i wiadomości jako członek oddz. dywers. B.CH. z całym rozmachem i zawziętością zabrał się do ścigania i aresztowania członków A.K. [...] Dobrymi pomocnikami siepacza

Świętoniowskiego byli wyżej wspomniani żydzi a szczególności oficer N.K.W.D. Reitzweld, Kesler, Rozenholz. Szczególnie niebezpiecznym był Reitzweld, który znając prawie wszystkich mieszkańców Kańczugi prawie wszystkim się interesował i wszystko donosił i powodował aresztowania. Był on również groźnym szantażystą i zajmował się pertraktacjami z rodzinami aresztowanych, wyłudzaniem okupu, po czym więzieni byli zwalniani. Mieszkał wspólnie z Świętoniowskim. Pomagali im inni mieszkający w Kańczudze żydzi którzy wnijkając i myszkując wszędzie dokonywali wywiadu i o wszystkim donosili Reitzfeldowi. [...] Ostatniego marca w Wielką Sobotę wieczorem zostało przez nieznaną sprawców zastrzelonych 7 żydów i żydówek, a wśród nich Reitzfeld".

Powojenne represje wobec kańczuskich akowców opisywał Alfred Maksymowicz. Sam był w AK, a przez trzy miesiące po wyzwoleniu pełnił ochotniczą służbę w milicji w Kańczudze. Według jego ustaleń - potwierdzonych przez akowców, z którymi rozmawiałem - w latach 1944-45 aresztowano około 20 akowców z okolic Kańczugi. Jeden z nich - Bolesław Płachciński - został stracony na zamku w Rzeszowie, gdzie po wojnie mieściła się siedziba UBP. Dwóch, w tym komendanta, wywieziono do łagrow. Dwóch innych (m.in. Głowackiego) skazano na wiele lat więzienia. Ale większość z trzymanych w aresztach w Przeworsku i Rzeszowie po kilku dniach była wypuszczana, często dzięki łapówkom lub znajomościom.

Obok wspomnianego w raporcie AK Świętoniowskiego głównym sprawcą aresztowań w rejonie Kańczugi był wówczas - jak pisze Maksymowicz w "Szkicu historycznym placówki AK" - Polak Tadeusz Szawan, który kierował tu kilkuosobową grupą PPR. To on np. aresztował Bolesława Płachcińskiego. Dawni akowcy mówili mi też o dwóch milicjantach śledczych z Przeworska pochodzenia żydowskiego: Raccy i Reizerze. Ten drugi, pochodzący z podkańczuskiego Ostrowa, został z wyroku podziemia zastrzelony na zabawie w pobliskich Niżatycach.

- Byli wśród Żydów tacy, co dali się włączyć w struktury nowej władzy - mówi Maksymowicz. - Sądzę, że w pewnej mierze pod przymusem, ale to było dla wielu Polaków bardzo przykre. A skaptował ich do współpracy pewnie wojenny komendant miasta Pieczenkin. On sam, jak się dowiedziałem od jednego z Rosjan, był rosyjskim Żydem. Reitzfeld ponoć pomagał w tropieniu akowców i negocjował z rodzinami uwięzionych okup za zwolnienie.

- Podobno Żydzi zamykali takich Polaków, co wcześniej donosili Niemcom o ukrywających się Żydach - mówi Stefan Szymczakiewicz. - Ale przecież to był wyjątek, że ktoś Niemcom donosił, tak w Polsce nie było. Trzech takich Żydów było. Najgorzej ten Reitzfeld chodził Polakom po piętach. On był szefem i brał pieniądze od Polaków.

Etnolog dr Alina Cała w książce "Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej" zamieściła zanotowaną w 1984 r. relację mieszkanki Kańczugi: "Mojego męża Ukraińcy na kolei fałszywie oskarżyli, że był w partyzantce. Przesłuchiwał go Żyd Rajcfeld z UB i potwornie zmasakrował". Przypomnijmy: Reitzfeld - to ten sam człowiek, który przed wojną uczył grać Stanisławę Ruchel, a po powrocie do pustego domu przez trzy noce grał na skrzypcach, tak że ludzie płakali. Dlaczego stał się prześladowcą Polaków? Pytam o to braci Szymczakiewiczów. - Nie umiem tego wyjaśnić - mówią zgodnie.

To nie AK!

Henryk Lewkowicz należał do dowództwa kańczuskiej AK. Jeśli to on ostrzegł nauczyciela Masłowskiego, czy wskazuje to na związek AK z zabójstwem? - Rodzice mi mówili, że Armia Krajowa zabiła Żydów w Kańczudze - mówi Bella Nussbaum z Toronto. Także Jakub Kesstecher, który złożył zeznania w Domu Uchodźców w Bukareszcie, mówił o "zabitych przez AK" (odpis protokołu zeznań jest przechowywany w Instytucie Yad Washem).

Alina Cała przytacza w książce relację: "W Wielką Sobotę AK wyrąbała wszystkich". Na AK wskazuje też sołtys z okolic Kańczugi cytowany w tej samej książce. Autorka sceptycznie ocenia jednak wartość tych opinii: - Wielu ludzi, zwłaszcza prości Żydzi, utożsamiało z AK każde ugrupowanie, które tam działało. - Różni ludzie próbowali obwiniać AK, a to nieprawda - mówi Roman Żurowski ("Wiśniak") z podkańczuskiego Żuklina. Udziałowi AK w zbrodni stanowczo zaprzecza także Alfred Maksymowicz: - Mnie już wtedy w Kańczudze nie było, ale jestem pewien, że członkowie AK, którzy w Kańczudze zostali, nie mieli z tym nic wspólnego.

A może Ukraińcy?

- A może to Ukraińcy zrobili w Kańczudze porządek z Żydami? - mówi Zbigniew Głowacki ("Orlątko"). - Ich tu pełno było wtedy w lasach. A po chwili dodaje: - Ktoś zrobił porządek z tymi, co donosili na Polaków. Nawet śledztwa nie było w tej sprawie, bo się milicja bała. Dr Stanisław Stępień, dyrektor Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu, znawca historii polsko-ukraińskiego pogranicza, uważa tę sugestię za absurdalną. - W tym czasie w pobliżu Kańczugi nie było oddziałów ukraińskich. Nie było też ukraińskiej

samoobrony, powszechnej na terenach, gdzie mieszkała ludność ukraińska. Zresztą jaki sens mogłoby mieć atakowanie Żydów przez oddziały ukraińskie?

Leśni ludzie

Z raportu "Polska Armia Krajowa Placówka Kańczuga":

"W pobliskich górach i lasach przebywały w tym czasie wolne oddziały dywer. t. zw. >>Leśni ludzie<<. Nie mieli oni nic wspólnego z A.K. Mieli swoich dow. i działali na własną rękę. Oddziały te składały się przeważnie z ludzi uchylających się przed służbą wojsk. w Armii Berlinga, prześladowanych i ściganych przez N.K.W.D., Milicję Ob. a także z młodych ludzi ze wschodnich terenów Polski. Było tam rzecz prosta wielu członków A.K., B.CH., i N.O.W. [...] Działalność swoją rozpoczęli dokonując pacyfikacji wśród członków Bezpieczeństwa, Milicji i innych szkodników. Mimo zdarzających się tu i ówdzie wybryków dokonywanych niekiedy przez >>Leśnych ludzi<< stan bezpieczeństwa Kańczugi i okolicy uległ radykalnej poprawie. Strony te nazywano w tym czasie żartobliwie >>Rzeczpospolitą Kańczudzką<< którą z daleka omijali siepacze z N.K.W.D., Bezp. i.t.p. "

Henryk Lewkowicz, pierwszy powojenny burmistrz Kańczugi, w swoich wspomnieniach napisał wprost: *"W nocy z 31. III 1945/ 1. IV. 1945 banda NSZ - szcztątki bojówek z okupacji - wpadła do Kańczugi i dokonała mordu żydów, którzy powychodzili z ukrycia"*.

Co do udziału NSZ sceptyczny jest Krzysztof Kaczmarski, historyk badający sprawy związane z polskim podziemiem narodowym (obecnie naczelnik Biura Edukacji Publicznej w rzeszowskim IPN): - W okolicach Kańczugi oddziałów NSZ nie było, nawet za okupacji. Bardzo słabe struktury Narodowych Sił Zbrojnych istniały najbliżej w powiecie mieleckim [blisko 100 km od Kańczugi - przyp. WP]. Skąd więc skrót "NSZ", który pojawia się także w dokumentach ówczesnych władz w powiecie przeworskim? - "Oddziały NSZ" lub częściej "bandy NSZ" to zbitka pojęciowa częsta szczególnie w dokumentach ówczesnej milicji i organów bezpieczeństwa - wyjaśnia Kaczmarski. - Takich określeń używano wobec wszystkich działających wtedy podziemnych ugrupowań. Najczęściej należy pod tym rozumieć oddziały poakowskie albo o bliżej nieokreślonej proveniencji.

To byli jacyś obcy goście

- Reitzfeld mógł niektórym zagrażać, to mogę zrozumieć - mówi Alfred Maksymowicz. - Ale inni? Przecież tam zamordowano Bogu ducha winne kobiety. - Niektórzy mówili: "Oni byli na usługach NKWD i mieli listę, mieli rozstrzelać pół Kańczugi" - mówi Anna P. z Kańczugi (rocznik 1933).

- Ale mało kto w to wierzył. Uważam, że to był jakiś rewanż. Albo strach, żeby nie zostały ujawnione osoby, które wzbogaciły się na majątku po Żydach. Inni ludzie mówili: "Duża grupa zanych mieszkańców miasta mogłaby przez nich ucierpieć, a współpraca z NKWD to tylko zasłona dymna. Żydzi, którzy wyszli z ukrycia, byli dla niektórych niewygodni".

Alina Cała podaje relację anonimowego mieszkańca Kańczugi: *"Po wojnie wróciło tu 7 [żydowskich] rodzin. Zaczęli całą Kańczugą trząść. Komunisty były z Żydami. Mieli broń. Zbierali majątek po Żydach, po wszystkich chcieli mieć. Przychodzili nawet do domów i zabierali meble. Wiadomo, jak było zaraz po wojnie. Ludzie rozebrali. Do mnie też kiedyś przyszli po szafę, bo ja mieszkam w domu po Żydach do dzisiaj. Nie patrzyli czyje to kiedyś było. Jak tylko żydowskie, to już ich. Byli samowolni"*.

- Żydzi pewnie straszili, że odbiorą swój majątek - zastanawia się Stefan Szymczakiewicz. - To się ludzie bali.

Bella Nussbaum: - Nasz dom był przez kogoś zajęty. Ale nie chcieliśmy go odebrać.

Szymczakiewicz: - Ci, co ich zabili, na pewno nie byli z Kańczugi, tylko jacyś obcy goście. U nas partyzantki wtedy

nie było, tylko z dalsza jacyś przyszli. Ale musiał z nimi być ktoś, kogo Reitzfeld znał, bo obcemu by pewnie nie otworzył. Może jakiś Żyd?

- Na pewno przynajmniej niektórzy z zabójców byli z Kańczugi i najbliższych wiosek - mówi Maria Z. - Kilkanaście lat temu ludzie wymieniali konkretne nazwiska. W małym środowisku nie mogło się to ukryć. Nazwisk nie powiem. Tu wiele rodzin jest w to uwikłanych.

Mam czyste sumienie

Józef N. był od 1945 r. aż do emerytury milicjantem. Pracował w Kańczudze, teraz mieszka w dużym mieście. - Sam nic nie widziałem, to co będę mówił. Ale H., jak wypił, nieraz opowiadał o tych Żydach. Owego H. (rocznik 1927) znalazłem w zaniedbanej chacie niedaleko Kańczugi. Mimo kilku prób nie udało mi się zastać go trzeźwego. Przy kolejnej wizycie usłyszałem od progucy: - Ode mnie pan nic nie wydusi. O tych Żydów pewnie chodzi? Na pewno ktoś powiedział, że mam z tym coś wspólnego? Ja nikogo nie zabiłem! Patrz pan! - obnaża spod flanelowej koszuli kościstą pierś. - Mam czyste sumienie! Jaki miałbym interes, żeby ich zabić?

Co wie IPN?

Po rozmowach z mieszkańcami Kańczugi zostało mi wiele niewyjaśnionych wątków, pytań bez odpowiedzi. Szukałem dalej: w Archiwum Państwowym w Przemyślu, w dokumentach służb specjalnych przejętych przez rzeszowski IPN. Bez rezultatu. Na podobne, krótkie milicyjne notatki informujące o zbrodni natrafiłem jedynie w archiwum rzeszowskiej komendy wojewódzkiej policji i w Archiwum Państwowym w Rzeszowie. Także w rzeszowskim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej nie słyszano o wydarzeniach z Kańczugi. Wkrótce po mojej wizycie w IPN w czerwcu 2001 r. pracownicy Instytutu pojechali do miasteczka. - Na razie nie udało nam się jednak ustalić niczego więcej, niż dowiedzieliśmy się od pana - przyznaje dyrektor oddziału Zbigniew Nawrocki.

Na wiosnę wszyscy wyjechali

(...) pozostali żydzi natychmiast z Kańczugi i okolic zniknęli, a Świętoniowski też zrozumiał że jego czasy w Kańczudze skończyły się. Na własną prośbę zostaje przeniesiony w inne strony (z raportu "Polska Armia Krajowa Placówka Kańczuga").

6 grudnia 1945 r. starosta przeworski Leon Zygadło pisał do Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie: "*Na terenie miasta Przeworska, jak i Kańczugi żydzi nie zamieszkują, gdyż jeszcze z wiosną b.r. wszyscy wyjechali do większych miast na zachód*".

Roman Żurowski ("Wiśniak"): - Nieprzyjemna sprawa. Już się potem żaden Żyd w Kańczudze nie pokazał. Jak coś chcieli w Kańczudze sprzedać, to kupujący porozumiewał się z pośrednikiem w Przeworsku i tam u notariusza załatwiali.

Stefan Szymczakiewicz:- Ten Josio, co u nas wtedy był, pochował ich i zaraz wyjechał. Mieszkał we Francji.

- Baliśmy się wrócić - mówi Bella Nussbaum. - W Kańczudze było dużo złych ludzi. Dobrzy ludzie byli w Gaci. Myśmy się tam przechowali przez 13 miesięcy u pana Solarza. W jednym miejscu są dobrzy ludzie, w innym źli.

Jonathan Feldstein z New Jersey, prezes First Kanczuga Society (Stowarzyszenia Żydów z Kańczugi założonego sto lat temu przez jego pradziadka) powiedział mi o jeszcze jednym Żydzie: - Mój znajomy jako 19-latek był odpowiedzialny za pochowanie zabitych w Kańczudze.

Czyżby to był Josio z opowieści Szymczakiewiczów? Ale Feldstein nie skontaktował mnie z nim: - On do tej pory ciężko przeżywa te wydarzenia. Kiedy o tym rozmawia, nie może później spać przez trzy dni. Kiedyś wspominałem,

że trzeba by postawić tam pomnik. Powiedział, żebym nigdy nie jechał do Kańczugi. Ja jednak nadal uważam, że trzeba jakoś utrwalić pamięć o Żydach, którzy przecież mieszkali w Kańczudze przez setki lat.

PS. Inicjały niektórych osób zostały zmienione. Zachowaliśmy oryginalną pisownię w cytatach